

The book cover features a light cream background with scattered golden specks. It is framed by intricate botanical illustrations: dark blue-green ferns and leaves on the left and bottom, and orange-toned flowers and leaves on the right and top. The title is centered in a bold, sans-serif font, with the first two lines in black and the last two in white.

**GDY WIEJE
WIATR
BUDZĄ SIĘ
DEMONY**

ANNA LEWICKA

ANNA LEWICKA

**GDY WIEJE WIATR,
BUDZĄ SIĘ DEMONY**

opowiadanie zapowiadające
powieść grozy *Petnik*



Wiosenne słońce wisiało nisko nad drzewami, jeszcze nieśmia-
łe i płowe, przymglone cienką warstwą chmur.

Piotr piął się w górę krętą, dziurawą drogą. W dziurach
stała woda. Przeskakiwał kałuże jedna za drugą, aż dotarł do
podjazdu równie zniszczonego, jak cała szosa.

Spomiędzy szpaleru nagich drzew wyłoniło się wielkie domo-
stwo. Dworek właściwie. Prawdę mówiąc, wyglądał tak samo
posepnie jak cały las. Nadgryziony zębem czasu, porośnięty bez-
listnymi pędami winorośli, sprawiał raczej złowróżbne wrażenie.

– W gorszych miejscach nocowałem – szepnął pod nosem
Piotr i wszedł na spękany schodek.

Od razu rzuciła mu się w oczy kołatka w kształcie róży. Na-
dal ładna, choć zmatowiała patyną. Klimatyczna. Zastukał,
ale chociaż przez dłuższą chwilę przestępował z nogi na nogę,
nikt nie otwierał.

Na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdził w telefonie re-
zerwację. W końcu dokonał jej na szybko, jeszcze tego ranka,
kiedy jechał do Pełnika lokalnym busikiem. Może coś mu się
pomieszało? Nie. Wszystko się zgadzało. Data – dzisiejsza.
Miejsce też z pewnością właściwe, chociaż zdjęcia na portalu
były dla tej rudery zdecydowanie łaskawsze niż rzeczywistość.

Nadal nikt nie otwierał.

Zrobił krok w tył i ogarnął wzrokiem front budynku, ale zanim poszedł o krok dalej i zabrał się za pukanie do okien, na szczęście na bocznej ścianie zauważył przycisk dzwonka.

– Baran za mnie – prychnął i zaśmiał się cicho.

Ding-dong! Dźwięk wybrzmiał echem po drugiej stronie drzwi.

Tym razem po chwili oczekiwania usłyszał przybliżający się stukot obcasów. Uff. Ulżyło mu na samą myśl, że nie będzie musiał rozbijać namiotu gdzieś na mokrej ściółce.

Kiedy jednak drzwi otworzyły się ze zgrzytem, całe poczucie ulgi odpłynęło, pozostawiając na plecach zimny dreszcz.

W wejściu stała kobieta, zasuszona i wyprostowana jak trzcina, ubrana w czarną, długą suknię z białą koronkową stójką. Ciemne, lekko przyprószone siwizną włosy ściągnęła w ciasny kok na karku. W rękę trzymała nóż. Zakrwawiony nóż.

Piotr przełknął ślinę i poczuł, jak żołądek skręca mu się w supeł. Krok do tyłu. Jeszcze jeden. Może zdąży uciec. Kobieta wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat. Nie dogoni go. Zanim jednak wyrwał się z chwilowego paraliżu, ona z wyraźnym zdumieniem przeniosła wzrok z przerażonej miny chłopaka na nóż, któremu intensywnie się przyglądał.

– Ojej, przepraszam, że pana przestraszyłam! – wykrzyknęła. – Właśnie kroiliśmy mięso na obiad.

Wytarła nóż o płócienny fartuszek, którym przepasała talię. Na kremowej tkaninie powstały krwawe smugi.

– Niech pan wejdzie! – Uśmiechnęła się uprzejmie i ruchem dłoni zachęciła go do wejścia.

Piotr nie był przekonany, ale w końcu, trochę niechętnie, powlókł się do środka.

– Proszę sobie tu zostawić plecak i chwilkę poczekać. Ja pójdę do kuchni ogarnąć to wszystko i zaraz do pana wracam. No chyba że chce pan pójść ze mną, zapraszam! – powiedziała kobieta i zanim zdążył jej odpowiedzieć, energicznym krokiem skierowała się w głąb domu, stukając obcasami czarnych botków.

Oparł plecak o ścianę i powoli ruszył za nią, przy okazji rozglądając się dookoła.

W środku pachniało starym drewnem, pszczelim woskiem i lawendą. Kojąco. Spory hol, schody na górę i kilka korytarzy po bokach. Lubił takie miejsca. Zawsze budziły w nim przyjemny, ciepły sentyment, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. To miało nawet swoje określenie – anemoia. Nostalgia za czasami, w których się nigdy nie żyło. No cóż, może faktycznie był dziwakiem i urodził się w złych czasach.

Uświadomił sobie, że tym bardziej nie powinien osądzać tej kobiety.

Udał się za nią do jasnej, przestronnej kuchni. Na widok produktów spożywczych rozłożonych na środku wyspy kuchennej uśmiechnął się do siebie w duchu, a poczucie ulgi wróciło. Miski ze składnikami. Mąka, jajka, tarta bułka. Drewniana deska kuchenna. Na niej kawał czerwonego mięsa częściowo pokrojony na plastry. Obok zaś leżał ten sam nóż, którego chwilę wcześniej tak się przestraszył.

Gospodyni właśnie myła ręce w żeliwnym zlewie. Zdjęła fartuch i wytarła w niego ręce, po czym wyciągnęła do Piotra dłoni.

– Jeszcze raz przepraszam za niefortunne przywitanie. Edna Getner.

Co za dziwne imię.

– Piotr. Piotr Mysłowski. – Uśmiechnął się, nie dając po sobie poznać zaskoczenia i odwzajemnił gest.

Dłoń kobiety, choć szczupła i niepozorna, ścisnęła jego rękę silnie i pewnie.

– Na obiad będą sznycle. Mam nadzieję, że pan lubi?

Wyszczerzył się z pełną autentycznością.

– No ba! Kto nie lubi sznycli?

– Tak sądziłam. – W jej oczach zagrały iskierki. – To w takim razie zaprowadzę pana do pokoju, niech się pan spokojnie rozgości, a ja w tym czasie tu dokończę.

Zaprowadziła go na górę i otworzyła jeden z pokoi w długim korytarzu wyłożonym kwiatową tapetą. Nie była pierwszej świeżości. Na rogach przy suficie i w miejscach sklejenia odłaziła wręcz całymi płatami.

Sam pokój okazał się jednak przytulny. Meble, choć stare, wyglądały porządnie, a cały pokój pachniał świeżością i czystością. Pościel i ręczniki czekały już na łóżku.

– Łazienka jest na końcu korytarza. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Wiem, że teraz łazienki w pokojach to standard, ale sam pan widzi, to stary dom.

– Nie ma problemu! – zaprotestował Piotr. – Ważne, że jest dach nad głową i miejsce, żeby się umyć.

– Proszę korzystać. Zresztą jest pan jedynym gościem, więc myślę, że brak prywatności nie powinien panu doskwierać.

– O! Taki duży dom i naprawdę nie ma pani więcej gości? Myślałem, że Kotlina Kłodzka jest bardzo popularna!

– W sezonie na szczęście jest lepiej. – Uśmiechnęła się. – Zimą ludzie przyjeżdżają na narty, w wakacje też przewija się sporo osób. Ale teraz pogoda jest taka o, nijaka. – Rozłożyła

ramiona w geście bezradności i wskazała na widok za oknem.
– Szaro i ponuro. Chłodno. Ani śniegu, ani zieleni. Najgorszy okres. Nawet jesienią jest lepiej. – Machnęła ręką.

– No tak, jesień jest chociaż kolorowa – przyznał.

– Żeby pan wiedział. Jak będzie pan miał okazję, niech pan wróci jesienią. Pięknie tu, jak drzewa stoją złotem.

– Będę pamiętał.

– No dobrze, to ja tu pana już zostawię – zreflektowała się.

– Obiad za godzinę, a jak pan będzie czegoś potrzebował, proszę mnie szukać w kuchni.

I wyszła.

No proszę, jednak zaskakująco dobrze trafił. Zwłaszcza że zdecydował się w ostatniej chwili i nie miał czasu na długie poszukiwania. Wszystko przez tę nieprzyjemną, dżdżystą aurę. Średnio uśmiechało mu się nocowanie pod namiotem w takich warunkach, ale jednocześnie perspektywa wynajmowania kwatery w centrum miasteczka wydała mu się równie odpychająca. To miejsce znajdowało się przynajmniej na odludziu. Szukał samotności, a nie gwaru i ulicznych hałasów. Tym bardziej cieszyło go, że był jedynym gościem.

*

– Wszystko było rewelacyjne! – Piotr poklepał się po brzuchu, kiedy skończył obiad.

Nie miał pojęcia, że był aż tak głodny, dopóki nie usiadł do stołu.

– Cieszę się, że panu smakowało. – Na twarzy Edny malowała się wyraźna satysfakcja.

– Muszę to teraz rozchodzić – zaśmiał się. – Pora spalić te wszystkie kalorie.

– Idzie pan pozwiedzać Pełnik? – zainteresowała się Edna.

– Pełnik? – zdziwił się Piotr.

Wybierał się do lasu. Nawet na myśl mu nie przyszło zwiedzanie miasteczka.

– W razie czego mogę panu pożyczyć rower. To kawałek, pewnie sam pan się przekonał, idąc tu piechotą.

Piotr zdał sobie sprawę, że na podjeździe nie widział żadnego auta.

– Pani jeździ rowerem? Nie jest pani ciężko bez samochodu?

– Nieczęsto wybieram się do miasta. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Tylko kiedy muszę.

– A zakupy?

– No przecież nie taszczę ich piechotą. Przywozi je Marek, mój pracownik – wytłumaczyła. – Mieszka w Pełniku. Dziś już późno, ale jutro może go pan pozna. Złoto, nie człowiek. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

– Z przyjemnością – potwierdził uprzejmie Piotr i wstał od stołu. – A tymczasem, jeśli pani wybaczy, pójdę się poszpendać.

– Rower? – upewniła się.

– Nie, nie. – Machnął ręką. – W las idę.

Uniosła brwi.

– Niech pan uważa w takim razie. I proszę się trzymać szlaku. Tutejsze stoki bywają zdradliwe. Nigdy nie wiadomo, gdzie się noga omsknie.

– Pani się nie martwi, pani Edno. Ze mnie niezły obieżyświat – zaśmiał się chłopak.

Nie spakował nawet plecaka, w końcu szedł jedynie na krótkie rozeznanie okolicy. Wziął ze sobą tylko kilka podstawowych rzeczy. Ot tyle, ile mieściło się w przepastnych kieszeniach bojówek. Zrzucił kurtkę, naciągnął czapkę i wyszedł na zewnątrz.

Wzgórze spowijała mgła i w ogóle nie było widać leżącego u jego stóp miasteczka. Zupełnie jakby znalazł się w jakimś innym świecie. Poza rzeczywistością, poza czasem.

Tylko to wzgórze i otulony mlecznymi pasmami stary dom.

Teraz zupełnie nie rozumiał, czemu wcześniej to miejsce wydało mu się upiorne. Było posępne, owszem, ale jednocześnie piękne. Niesamowicie piękne. Kojące. Mógłby tu zostać na zawsze.

Tutaj, w górach, wiosna przychodziła zdecydowanie później. Mimo że zaczął się już kwiecień, drzewa nadal były zupełnie nagie. Chłodny, smętny dzień też wcale nie budził entuzjazmu, ale Piotr mimo wszystko nie poddawał się tej ponurej aurze. Wołał skupić się na pozytywach. Wciągnął głęboko świeży zapach mokrej ściółki i wsłuchał się w ptasie trele. Uśmiechnął się na widok kępki przebiśniegów. Nic nie sprawiało mu takiej przyjemności jak obcowanie z naturą.

Rozglądał się w zachwycie i wtedy na skraju lasu dostrzegł wychodzącego spomiędzy mgły jelenia. Wielki, dostojny samiec z rozłożystymi rogami patrzył prosto na niego. Wyglądał jak król tego lasu.

Piotrowi zapało dech w piersiach. Nie śmiał nawet drgnąć.

Jeleń stał tak przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Jego widok przesycił Piotra na wskroś magią lasu, magią natury. A potem zwierzę machnęło głową, jakby go wołało,

po czym powoli odwróciło się i niespiesznie podążyło w głąb lasu, w dół wzgórza.

Niewiele myśląc, Piotr wszedł za nim między drzewa. Trzymał dystans, żeby go nie spłoszyć, ale jeleń wydawał się zupełnie nieporuszony idącym za nim człowiekiem. Wielka sylwetka momentami niknęła we mgle, ale za każdym razem, kiedy chłopakowi wydawało się, że ją zgubił, plama rudości pojawiała się z powrotem w oddali. Piotr mógłby przysiąc, że jeleń na niego czekał, ale przecież to niemożliwe...

W końcu zatrzymał się. Piotr podszedł trochę bliżej, ale wtedy majestatyczne zwierzę kilkakrotnie uderzyło kopytem o ziemię. Czyżby poczuło się zagrożone? A może chciało go ostrzec? Jeleń jeszcze raz spojrzął na Piotra, po czym zupełnie niespodziewanie zerwał się do biegu i w kilku zwinnych susach zniknął we mgle na dobre.

Przez chwilę dało się jeszcze słyszeć uderzające o ziemię kopyta i łamane gałęzie, aż w końcu oddalił się na tyle, że zapadła zupełna cisza. Teraz już można było szukać wiatru w polu. Niemniej jednak to spotkanie było tak niesamowite, że Piotr długo nie mógł ochłonąć.

Podszedł do miejsca, w którym jeleń rozgrzebał ściółkę i liście. Dotknął ziemi dłonią, jakby w ten sposób mógł dotknąć samego zwierzęcia, obcować z nim na swój sposób.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że kiedy szedł jego tropem, stracił rachubę czasu. Nie obchodziło go nawet, dokąd w ogóle idzie. Na szczęście miał dobrą orientację w terenie. Zawsze brał ze sobą kompas, a doświadczenia zebrane w ciągu wielu lat na licznych wyprawach zrobiły swoje. Las był jego przyjacielem.

Przez chwilę jeszcze kuczał przy ziemi, zanim podniósł się, żeby rozejrzeć się po okolicy. Wprawdzie pora nie była jeszcze późna, ale wiosenne popołudnia nadal pozostawały krótkie, a do tego Piotr poczuł, że wiatr wyraźnie się wzmaga. Lepiej wracać.

Bardzo szybko rozeznał się w swoim położeniu. Okazało się, że znalazł się przy idącym dość ostro w górę zboczu porośniętym jeżynami. Obrócił się wokół własnej osi i wtedy jego wzrok padł na skałę.

Przymrużył oczy, żeby się upewnić, że dobrze widzi we mgle. Serce zabiło mu mocniej, kiedy podszedł do skalnej ściany. Tak. Dobrze mu się zdawało. Miał przed sobą skalny świetlik, wąską szczelinę prowadzącą gdzieś w głąb kamiennej formacji.

Nieemożliwe. Nie mógł mieć aż takiego szczęścia. Przecież dokładnie po to tu przyjechał. Spodziewał się długich poszukiwań, z dużym prawdopodobieństwem zakończonych kompletnym fiaskiem, a tu takie cuda! Pierwszego dnia, na przypadkowym spacerze! Oszołomiony usiadł na wilgotnej ziemi.

Ten jeleń to był jakiś cholerny znak. Przyprowadził go tu. Piotr nie wierzył w takie rzeczy, ale najwyraźniej tak właśnie miało być. Miał znaleźć to miejsce.

Najchętniej od razu wlaźłby do środka, ale rozsądek zwyciężył. W lesie, w górach nic nie liczyło się bardziej niż zachowanie bezpieczeństwa i pokora wobec natury. Postanowił, że wróci tu następnego dnia.

Zwinnie wspiął się po zboczu porośniętym jeżynami. Stamtąd wystarczył krótki spacer i Piotr wyszedł na szosę prowadzącą do dworku. Okazało się, że jeleń poprowadził go lasem

zupełnie okrężną drogą. Tylko dzięki temu Piotr wypatrzył skalną szczelinę – z tej strony, z góry, była całkiem niewidoczna. Ale fart! Nie mógł się już doczekać, by wrócić tam nazajutrz.

Wiatr tymczasem nasilał się coraz bardziej. Mgła zgęstniała, a niebo zasnuły ciemne chmury.

– W ostatniej chwili! – przywitała go w drzwiach Edna. – Zaczęłam się już o pana martwić!

Po chwili siedział przy kuchennym stole, a gospodyni podgrzewała kakao.

Co za niesamowite miejsce. Przedziwna nostalgia, którą poczuł, kiedy tylko postawił stopę w tym domu, trzymała go w mocnym uścisku i nie puszczała. Zawodzący za oknem wiatr tylko potęgował wrażenie przytulności.

Przecież nie lubił ludzi. Praca w korporacji była dla niego torturą. Siedział w najdalszym kącie biura i zawsze udawał bardzo zapracowanego, żeby tylko z nikim nie rozmawiać.

A przy tej dziwnie ubranej kobiecie wcale nie czuł się źle. Może po prostu trafił swój na swego.

Nie odzywali się do siebie wiele, a jednak w tym wspólnym milczeniu czuć było nić porozumienia. Poza tym właścicielka – mimo swojego pozornie chłodnego, odpychającego na pierwszy rzut oka wyglądu – emanowała wręcz dobroduszną troską.

– Pani Edno, czy wie pani może coś o tym, żeby tu w okolicy były kiedyś jakieś kopalnie? – zagaił, popijając gorące kakao.

Odwróciła się gwałtownie. Może odrobinę zbyt gwałtownie.

– Kopalnie?

– No tak. Dzisiaj na spacerze znalazłem szczelinę w skale, no i tak się zastanawiam...

Wytarła ręce o fartuch.

– Nic nie wiem o kopalniach – odrzekła dość szorstko. – Skąd taki pomysł?

Westchnął głęboko. W sumie mógł jej przecież powiedzieć, co mu szkodziło?

– Byłem ostatnio w Złotym Stoku. W Sztolni Ochrowej – zaczął. – Piękna. Ale najlepsze jest to, że znaleziono ją dopiero kilka lat temu. W dwa tysiące dwunastym. Proszę sobie wyobrazić, że jakaś turystka przechodziła obok i zobaczyła świetlik. A jak odpompowano wodę z korytarzy, okazało się, że to średniowieczna sztolnia. Tyle setek lat pozostała w ukryciu, i to pod samym nosem! Taki skarb!

– Może to Duch Gór pokazał jej miejsce – zaśmiała się kobieta.

– O, to, to! – podekscytował się nagle Piotr, przypomniawszy sobie jelenia, który go wcześniej prowadził. – Żeby pani wiedziała, że Duch Gór!

– Oj, to tylko legendy. – Edna szybko zaczęła studzić zapalę Piotra.

– Ale przecież to możliwe. W końcu swego czasu panowała tu lokalna gorączka złota. Takich kopalni były w okolicach setki. Setki! A odkryto ich raptem kilka. Kto wie, jakie jeszcze skarby skrywa tutejsza okolica. Nie chciałaby pani mieć tu takiej atrakcji turystycznej?

– Ręk mi na ten jeden pensjonat nie starcza – zachnęła się żartobliwie. – To już nie na moje siły.

– Nie ma pani rodziny? – palnął szybciej, niż zdążył ugryźć się w język, a usta Edny zacisnęły się w wąską linię.

To pytanie było chyba nie na miejscu.

– Mam... ale moja Emilka mieszka w Warszawie. I niech tam zostanie, oby tu nigdy nie wracała.

– Dlaczego?

– A widzi pan tu jakiegokolwiek perspektywy?

Wzruszył ramionami.

– Ja tam nie miałbym nic przeciwko, żeby zostać w takim miejscu jak to.

– Nie wie pan, co pan mówi. – Edna położyła mu rękę na ramieniu. – Tu naprawdę nie ma czego szukać.

I odeszła, zostawiając Piotra przy stole z dziwnie ciężkim sercem.

*

Tej nocy rozpętała się wichura. Piotra obudził dziwny dźwięk. Krzyk?

Zerwał się z pościeli jak oparzony, by uświadomić sobie, że te przeraźliwe wizgi to po prostu wiatr. Oblał się zimnym potem na samą myśl, że miałby spać tej nocy w namiocie.

Zwłókł się z łóżka i przecierając zaspaną twarz, poszedł do kuchni po wodę. Przez chwilę macał ręką ścianę na korytarzu, ale w ciemności nie znalazł włącznika światła. Zresztą może i lepiej – nie chciał obudzić Edny.

W końcu pokonał jakoś ten zalany mrokiem tunel i dotarł do schodów prowadzących na dół. Skrzypiały pod każdym jego krokiem.

Piotr nie wierzył w duchy, a jednak w tym domu po ciemku miał wrażenie, jakby za chwilę coś miało wyskoczyć zza rogu, ze ściany.

Wnętrze przypominało nawiedzone domy z horrorów. Spokojnie można by tu kręcić straszne filmy, zaśmiał się w myślach, żeby dodać sobie animuszu.

Nagle cały dom zabłysnął na moment lodowatym, błękitnym światłem, a po chwili rozległ się huk. Piotr aż wrzasnął z przerażenia i potknął się na schodach. Upadł i dosłownie zjechał na sam dół.

Serce waliło mu jak młot.

– To tylko burza – wymruczał pod nosem.

Nieco obolały dotarł po omacku do kuchni. Niby nic się nie stało, a jednak włoski na całym ciele stały mu na sztorc. Teraz to dopiero miał sucho w gardle. A mógł się jednak obyć bez tej wody do rana.

Kiedy ponownie błysnęło, był już spokojniejszy. Błyskawica, grzmot – i znowu ciemność. Za kuchennym oknem zrobiło się zupełnie czarno, słyszał tylko potężne wycie wiatru.

Za każdym razem, kiedy piorun rozświetlał okolicę, dostrzegał drzewa chylące się pod naporem wichury, szarpane i smagane gwałtownymi porywami.

Dłonie drżały mu lekko, kiedy napełniał szklanek wodą.

– To tylko burza – powtórzył jak mantrę i odwrócił się w kierunku schodów. – Tylko burza.

Na samą myśl o ponownym przejściu ciemnego, wąskiego korytarza zrobiło mu się słabo.

I wtedy, w kolejnym błysku pioruna, dostrzegł przed sobą jakiś kształt. Stała przed nim przerażająca zjawą o rozpuszczonych włosach, w białej, powłóczystej sukni.

Szklanka wypadła mu z rąk i z trzaskiem rozbiła się na pod-

łodze. Poczuję, jak woda zalewa mu stopy, a chłód przenika dreszczem aż po czubek głowy.

Strach zupełnie go sparaliżował. Patrzył przez siebie, a w ciemnościach nadal widział zarys tej samej postaci.

Nie był w stanie się ruszyć. Nie mógł spojrzeć w bok, odebrać oczu od upiora. W głowie miał pustkę. Zero myśli. Tylko czysta, atawistyczna panika.

– To ja – rozległ się znajomy głos.

Zapałka zgrzytnęła o draskę, a w powietrzu uniósł się zapach siarki. W świetle świecy pojawiła się surowa twarz Edny.

– Usłyszałam hałas. Wszystko w porządku?

Piotr odetchnął z ulgą i zaśmiał się nerwowo.

– Nie... nie woli pani zapalić światła? – jęknął, kiedy w końcu zdołał wydobyć z siebie głos.

– Prąd wysiadł – wytłumaczyła i wskazała na zewnątrz. – Burza.

– No tak. Jasne – uniósł rękę do czoła. – Dureń ze mnie.

– Przepraszam, że pana wystraszyłam.

Znów zachichotał ze zdenerwowania i emocji.

– Strasznie mi głupio, że tak się przestraszyłem. No i jeszcze narobiłem bałaganu.

– Niech pan się nie przejmuj tej szklanką, jutro posprzątam. Tylko niech się pan teraz nie pokaleczy.

– Dziękuję. I przepraszam za kłopot.

– Taka noc – wzruszyła ramionami.

– To chyba nie jest zwykła burza, prawda?

– Hm. No faktycznie, nie jest. Ale to typowe zjawisko w tych okolicach. Można się przyzwyczaić. Niektórzy mówią, że u nas takie ciężkie powietrze – stwierdziła. – A inni, że to Czarna Noc.

Znów ogarnął go niepokój.

– Czarna Noc?

– Niemcy, którzy tu kiedyś mieszkali, tak ją nazywali. Schwarznacht. – Pokiwała głową w zadumie.

Za oknem znów coś zawyło.

– To brzmi upiornie – przyznał Piotr. – Jakby kogoś rozdzierali na strzępy.

– Niektórzy tak twierdzą...

Chłopak przeknął głośno ślinę.

– To znaczy? – spytał, chociaż wcale nie chciał wiedzieć.

Serce znów szybciej zabiło mu w piersi ze strachu.

– Mawiają, że to Dziki Gon. Banda upiorów, która przecacza się po niebie wozami ciągniętymi przez dzikie psy. Ponoć całej tej kawalkadzie przewodzi sam Duch Gór. Porywają każdego, kto stanie im na drodze. Rozszarpują na kawałki albo werbują do swojej hordy. A u okolicznych mieszkańców powodują bezsenność, nawołują do zbrodniczych czynów.

Piotr potarł zdrętwiałe dłonie. „Gdy wieje wiatr, budzą się demony” – już kiedyś to słyszał, zawsze jednak puszczał powiedzenie mimo uszu. Podobnie, jak nie wierzył w duchy, bagatelizował też istnienie diabłów, sił piekielnych i lokalnych stworów z ludowych opowieści. Jasne, słyszał, że panem górskiej pogody był tu Liczyrzepa, ale przecież to brzmiało zupełnie absurdalnie.

– No tak. Dziki Gon. Słyszałem coś o tym. Ale to tylko zjawisko meteorologiczne, prawda? – upewnił się stłumionym głosem. – Kwestia ciśnienia czy coś?

– Lepiej nie sprawdzać – zaśmiała się Edna, a nastrój odrobinę się rozluźnił. – Niech pan nie wychodzi na zewnątrz, to

nikt pana nie porwie. A rano już będzie po wszystkim, zupełnie jakby nigdy nie było tu żadnych dzikich jeźdźców.

– Nie zamierzam wyściubiać nosa – przytaknął.

Uśmiechnęła się bez słowa, chociaż w świetle świecy wyglądało to raczej jak grymas.

– No tak... To ja wracam do siebie.

Przeszedł ostrożnie obok rozbitego szkła, żeby nie pokaleczyć stóp.

– Odprowadzę pana, żeby nie szedł pan po ciemku – zaproponowała Edna i oświetlając drogę świeczką, doprowadziła go do pokoju.

– Jutro z samego rana pojedę do centrum po elektryka – dodała jeszcze, zanim zamknęła za sobą drzwi.

– Nie ma sprawy. Ja pewnie rano będę szedł w góry.

– W takim razie proszę mi obiecać, że jeśli będzie pan wychodził, a mnie już nie będzie, wpisze się pan do Księgi Wyjść. Żeby w razie czego wiedziała, dokąd pan poszedł.

– Jasne.

– I niech pan sobie zorganizuje jakiegoś przewodnika. Na pewno znajdzie pan kogoś w Pełniku. Zawsze warto mieć towarzystwo kogoś doświadczonego.

– Będę pamiętał. – Uśmiechnął się uprzejmie. – Dziękuję za troskę. Dobranoc.

Wrócił do łóżka, ale sen długo jeszcze nie nadchodził.

Mysłał o Dzikim Gonie. Miał wrażenie, że gdzieś na górze kopyta przeklętych koni stukają o dach, a psy z upiornego zaprzęgu wyją jak oszalałe. Gwiżdżące odgłosy grały mu w uszach tak długo, aż w końcu zasnął.

Kiedy rano zszedł na dół, szkła już nie było. Edna najwyraźniej zdążyła wyjść, tak jak uprzedzała, bo w domu panowała zupełna cisza. Pora była stosunkowo wczesna, ale Piotr i tak wstał o wiele później, niż zwykle. Później, niż zamierzał.

Właściwie nie powinien się dziwić, w końcu pół nocy nie spał.

Słońce wpadało jasnymi snopami do kuchni, a oprócz kilku drzew powalonych na skraju lasu nic nie wskazywało na to, że poprzedniej nocy przez okolicę przetoczył się halny.

I po strachu. To była dziwna noc.

No dobra. Czas wziąć się w garść. Piotr uwinął się szybko. Zjadł jajecznicę, zrobił sobie kanapki na drogę i herbatę do termosu, po czym spakował plecak. Zabrał liny, raki i jakieś dodatkowe ubranie na wszelki wypadek. Po zastanowieniu do klapy plecaka przymocował jeszcze śpiwór. Nigdy nic nie wiadomo.

W ostatniej chwili przypomniał sobie jeszcze o prośbie Edny. No tak, Księga Wyjść. „Wyjście do jaskiń”, nabazgrał. Po chwili zastanowienia dopisał jeszcze: „z przewodnikiem”. Niech się kobieta za bardzo nie martwi. Oczywiście nie miał zamiaru nikogo zabierać. Przecież trafił na to wejście sam. Jeśli faktycznie znajdzie te kopalnie, na co bardzo liczył, nie uśmiechało mu się dzielić chwałą z jakimś obcym gościem, który nie przyłożył ręki do tego odkrycia. To był moment Piotra.

Kochał swoją samotność – i swoją włóczęgę.

Włóczykij – tak nazywała go ze śmiechem siostra, chociaż od kilku lat robiła to coraz rzadziej, a coraz częściej z troską

w oczach pytała go, czy nie planuje jednak zaznać innego trybu życia. Rodzice z coraz mniejszą delikatnością pytali, kiedy w końcu się z kimś zwiąże, a on... no cóż, nie chciał niczego zmieniać. Tak było mu dobrze. Najlepiej.

Musiał jednak coś im dać. Coś, co sprawi, że przestaną się krzywić na te jego wyprawy. Coś, dzięki czemu ludzie z pracy przestaną nazywać go dziwakiem, a spojrzą jak na bohatera, na odkrywcę. Teraz nareszcie miał szansę. To było to. Właśnie to. Czuł to całym sobą.

Niedługo później stał już przed wejściem do ciemnego korytarza jaskini. Teraz, kiedy wiedział, jak tam dotrzeć, szybko pokonał drogę.

Poranek był piękny i energetyzujący. Nocny wicher przegonił wszystkie chmury, więc słońce świeciło intensywnie na błękitnym niebie. Jeśli jednak ktoś spodziewał się, że zostanie ogrzany przez jego promienie, mógł się mocno zawieść – chłód wręcz przenikał do kości. Piotra ta rzeźkość tylko pobudziła.

Obejrzał się jeszcze raz na snopy światła przedzierające się przez korony drzew i wciągnął głęboko powietrze. Uwielbiał zapach ozonu i mokrej ściółki po burzowej nocy.

No dobra, raz kozie śmierć. Zapalił czółówkę i wślizgnął się do skalnej szczeliny.

Korytarz prowadził w dół. Im dalej odchodził od wejścia i źródła światła, tym robiło się coraz ciemniej. Z każdym krokiem w Piotrze rosła nadzieja. To faktycznie nie był jakiś ślepy zaułek.

Brodził w płytkiej wodzie, ale nie wyglądało na to, żeby korytarze były zalane. Wspaniale.

Nagle serce zabiło mu z entuzjazmem. Korytarz przeistoczył się w grootę. Nie widział dokładnie jej rozmiarów, potrzebował więcej światła. Dobrze, że się przygotował – w plecaku miał drugą latarkę, porządną, ręczną. Słusznych rozmiarów.

Kiedy wreszcie dokładnie oświetlił grootę, zrozumiał, jak jest wielka. Na dodatek wyglądało na to, że jaskinia wcale się tu nie kończyła, ale biegła jeszcze głębiej.

– W grocie Króla Gór... – szepnął do siebie w nieopisanym zachwycie, ale chociaż melodia od razu zagrała mu w głowie, nie śmiał nawet jej zanucić. Sam szept wybrzmiał tutaj nie-naturalnie, jakby Piotr zaburzał jakiś święty porządek.

Co za genialne miejsce! Nie mógł się nacieszyć tym odkryciem. Powinien wrócić i opowiedzieć o swoim znalezisku, ale ciekawość pchała go dalej. Wiedział, że postępuje ryzykownie, że przydałby się jakiś doświadczony grotolarz, ale ekscytacja i adrenalina trochę za bardzo go poniosły. Jeszcze tylko kawałek. Sprawdzi, co jest dalej i wraca. To jedyna szansa, następnym razem przecież przyjdzie tu w towarzystwie. Będzie musiał znosić gwar obcych głosów i zachwyty. Tak, ta chwila, by nacieszyć się swoim znaleziskiem, po prostu mu się należała.

Zatrzymał się w grocie na drugie śniadanie, zjadł kilka kanapek i ruszył dalej. Grota zwężała się teraz w wąski korytarz.

Panował tu błogi spokój, a jedyne dźwięki wywoływały krople rozbijające się o płytką wodę i wilgotne skały.

Nagle w tej bezbrzeżnej ciszy usłyszał powolny stukot kopyt dochodzący z głębi jaskini. Dźwięk narastał, wyraźnie się przybliżał. Czy to możliwe, żeby zabłąkało się tu jakieś zwierzę?

Skierował w tamtą stronę snop światła, spodziewając się jakiegoś zgubionego koziołka, ale wyrósł przed nim ogromny, wysoki cień.

Nad Piotrem górowała straszliwa postać. Przerazająca. Nie-ludzka, zupełnie jakby sam diabeł o jelenim porożu wyłonił się z piekielnych czeluści. W spowitym cieniem obliczu błysnęło jedno oko, jakby był w nim osadzony drogocenny klejnot.

Stwór nie przyniósł jednak ze sobą diabelskiego swądu siarki, lecz zapach mokrej skały, mokrej ziemi po deszczu.

W pierwszej chwili Piotr pomyślał, że coś mu się przywidziało, ale w tym momencie zakończony chwostem ogon przeciął powietrze niczym bicz. Po skalnym korytarzu poniósł się trzask, który w tej ciszy wydał się głośny jak uderzenie pioruna. I z pewnością bardzo prawdziwy.

– Szukałeś przewodnika? – rozległ się głos, który brzmiał niczym echo niosące się po kamiennych komnatach.

Piotr zaczął wrzeszczeć jak opętany.

Upuścił latarkę, która z hałasem uderzyła o skałę i zgasła, ale na szczęście drogę oświetlała mu jeszcze zapalona na czole niewielka latareczka. Szybkim gestem zrzucił obciążający plecak i ruszył do panicznej ucieczki.

Wystarczyły dwa kroki, by potknął się i z impetem upadł na mokre skały. Czołówka rozbiła się, zatapiając wszystko w całkowitych ciemnościach. Poranił dłonie i kolana, ale desperacko starał się wstać. Miotał się. Woda chlapała dookoła. Teraz, w tej nieprzemierzonej czerni, poczuł się jak ślepiec. Udało mu się jednak pokonać kilka kolejnych kroków, po omacku, na czworakach. Szaleństwo odbierało mu rozum, ale instynkt przetrwania gnał do przodu. Byle dalej, byle się stąd wydostać.

Kiedy zrozumiał, że nie powinien tu w ogóle wchodzić, było już za późno.

Poczuł, jak coś chwytą go za nogę i nie wiedział, czy stopa utkwiła między kamieniami, czy to diabelski szpon zamknął go w swoim uścisku.

– Puść mnie! Puść mnie, potworze!

Uścisk nie zelżał. Piotr nie był w stanie wyrwać nogi, chociaż bardzo się starał.

– Podobno chciałeś tu zostać – wyszeptało echo.

*

Zmierzchało. Edna wyrzała przez okno na pogrążający się w ciemnościach ogród.

Przebiegła palcami po klawiaturze i w kilku kliknięciach dokończyła proces wymeldowania. Wiatraczek starego komputera zaszumiał przez chwilę nieco głośniejsze i ucichł.

Edna przejechała ręką po Księdze Wyjść, by po raz kolejny tego dnia spojrzeć na ostatni wpis. „Wyjście do jaskiń z przewodnikiem”. Biedny chłopak. Z ciężkim sercem zamknęła tomiszcze i schowała je do szuflady. Zdjęła z nosa okulary i odłożyła je na blat biurka.

Ostrzegała go przecież, ale tacy jak on nigdy nie słuchali.

Gdzieś za oknem, tam, gdzie kończył się ogród, w ciemnościach lasu błysnęły jakieś oczy. Nie miała jednak czego się bać. Sama była przecież częścią tego domu, częścią tego lasu. Znała te oczy. Dobrze je znała. Westchnęła głęboko.

Król Gór znów powiększył swój orszak.